

zobaczywszy Wandę — ach, przepraszam panią — cofnął się szybko i ubrawszy się w surdut, znów otworzył drzwi — proszę pani... czym mogę służyć?

Wanda weszła z pewnem ociąganiem się, zarumieniona, postanowiła jednak być śmiałą i zaczęła z pewną przesadną odwagą:

— Przyszedłam do was, jako do towarzysza...

— A!... siadajcie i darujcie kawalerski nieporządek — rzucił z krzesła ubranie mundurowe na łóżko i podsunął jej krzesło — o co idzie?

— W sprawie strejku — mówiła siadając — czy wasi są powiadomieni?

— Wczoraj było posiedzenie kółka, strejkujemy w zasadzie, ale jesteśmy bezsilni, gdyby niższa służba pełniła swe obowiązki. Nie wiem, jak stoi sprawa z nimi?

Wanda namyślała się chwilę; jeśli powie, że nie wie, może go zniechęcić i nagle przypomniała sobie słowa Igielskiego na posiedzeniu:

— W służbie niższej mamy uświadomionych towarzyszy, sami agituja, zdaje się, że co do nich, obawy są zbyt czyste.

— Przyniesicie nam dobre wiadomości — uśmiechnął się — zaraz uwiadomię naszych, to podnieci ich do pracy.

— A kiedy zamysławicie zgromadzić ich, bo czas nagli.

— Kiedy?... pozwólcie, że się obliczę... zatem jutro o szóstej wieczorem... czy i wy też będziecie?

— O ile mi czas pozwoli — odpowiedziała wymijająco, nie wiedząc, czy na innym zgromadzeniu nie będzie potrzebniejszą.

— Żądają bibuły, nie macie?

— Czy wystarczy wam dwadzieścia pięć odezów?

— Za mało... co najmniej 100.

— Na razie dam wam tyle, ile mogę, ale wręczę wam później.

— Jutro na kółku... albo przyniesiecie do biura telegraficznego, dworzec główny, pytajcie omnie.

— A kółko gdzie? u kogo?

Podał jej dokładny adres; ona zamierzała już wyjść, gdy wspomniała o żądaniach.

— Towarzyszu, czy wczoraj była mowa o waszych żądaniach, stawianych dyrekcy?... rzadowi?...?

— Tylko ogólnikowo... żądamy polskiego języka w służbie, usunięcia przywilejów dla Rosyan, pewnych zmian w dyrekcyi... ale uchwały zapadną na ogólnym zgromadzeniu, przy wyborach delegatów...

— Tak... to słusznie... oto odezwy — wstała z krzesła.

— Zaraz towarzyszek... jak stoi sprawa z warszawsko-wiedeńską?

— Idą solidarnie... tamci mają już praktykę — uśmiechnęła się.

— Nic dziwnego, linia sama w sobie — mówił prędko — i my potrafilibyśmy, ale nas Polaków jest stosunkowo mało na stanowiskach, a w danym razie zastąpią nas z innych linii.

— Tak... tak... wy macie trudniejsze warunki... A co najbardziej dokucza pracownikom tej kolei?

— Złe obchodzenie się i samowola.

— Po strejku to się zmieni — pocieszała go Wanda — bo cały system rządowy będzie inny.

— Czy tylko rosyjskie koleje dotrzymają?... Wyrzuciliby nas Polaków bez litości ze służby...

— Oni przecież zaczynają.

— Tak, to prawda... ale czy zaczną?

— Najpewniej — i pożegnawszy się, wyszła.

Bal idąc z nią w kierunku dworca, wysłuchiwał szczegółowego opowiadania i powiedział zadowolony:

— Jak na początek, kardzo dobrze... ale to był inteligent... zobaczymy, jak sobie poradzisz z innymi. On nie żądał faktów, szczegółów, pewności...

— Gdzież teraz mam iść?

— Do zwrotniczego — wymienił imię i nazwisko — pokażę ci mieszkanie, ale tu uważaj, czy nie śledzi cię kto.

— A jak poznam szpiega?

— Zwykle idzie za tobą, nie patrząc na ciebie, mina naiwna, roztargniona, czasem chce ci się przysłużyć wskazaniem drogi lub sam pyta, aby ci

się lepiej przyjrzeć. Ty zawsze udaj, że go nie spostrzegasz i kołuj.

— Rozumiem — i pomyślała, że jednak byłoby to ciekawe, być śledzoną przez jakiegoś szpiega.

Dochodzili do dworca, a on wskazując jej na wielki, dwupiętrowy dom, objaśniał:

— Tam mieszka... i jeszcze jedno: on ma zamężną córkę w mieście, mówię ci to na wszelki wypadek.

Wskazane mieszkanie zastała zamknięte, lecz ze sąsiednich drzwi wychyliła się głowa niemłodej kobiety.

— Czego pani chce?

— Mam interes — wymieniła nazwisko.

— On na służbie a ona w mieście. Czy to pilny interes?

— Dosyć... i szłam tak daleko — westchnęła.

— Cóż ja pani poradzę? wyszła na korytarz i przyjrawszy się Wandzie dodała po chwili: — chyba idź pani na plant, on jest przy drugiej budce.



Wanda nacisnęła klamkę i zobaczyła młodego człowieka, który zabierał się do golenia.

— Dziękuję pani — i zwróciła się ku schodom.

— A trafi to pani?

— Spróbuję... nie wiem.

— Zaczekajże pani — i zawołała przez otwarte drzwi swego mieszkania — Jędrko! Jędrko! Weź czapkę i chodź tutaj!

Po chwili wszedł na korytarz ośmioletni chłopak rumiany, uśmiechnięty, a na wiadomość, że ma zaprowadzić Wandę do zwrotniczego, zablasył mu niebieskie oczy.

— A trafisz? — spytała matka.

— Cobym nie miał trafić, czy mi to pierwszyżna? Chodźmy!

Prowadził ją drogą dalszą, ku kolei obwodowej.

— Jędrko, a chodzisz ty do szkoły?

— Alboż mi nie czas? — zaśmiał się — chodzę do szkoły, ale do naszej, polskiej.

— I dobrze się uczysz? Łatwo ci idzie?

— Ee, co mi to za historie? Abecadło i tyle... A ta nasza profesorka nudna, bo nudna i wciąż narzeka.

— To ci źle w szkole?

— A zaraz źle — mówił z powagą starszych — źle czy dobrze, człowiek powinien się uczyć, bo nie będzie miał kawałka chleba.

— Czemże ty chcesz zostać?

— Ja? — chwilę się namyślał — będę maszynistą, to dobry fach i wie pani, on może gwizdać, kiedy zechce.

— No, nie zawsze, Jędrku — uśmiechnęła się — są na to przepisy.

— Przepisy!? — zaśmiał się — a kto je pisał?!

— A gdzie zwrotniczy?

— Zaraz... tamta budka, widzi pani? Tylko ostrożnie na szynach, bo o nieszczęście nie trudno. Niech się pani mnie pilnuje.

— Dobrze Jędrku.

— A tu ostrożnie!... Wyjęli próg, ja przeskoczę, a pani niech obejdzie, bo w sukni zaplączą się nogi... Widzi go pani? tam stoi trzech... i on tam jest z nimi.

— Któryż to?

— Alboż pani go nie zna?

— Mam krótki wzrok, niedowidzę.

— Takie zdrowe oczy i nie widzą — patrzył z ciekawością w jej oczy.

— Dziękuję ci Jędrku, sama już dojdę — i wyjmując portmonetkę, rzekła — masz na cukierki.

Zaśmiały mu się oczy, ale odsunął rękę Wandę.

— Mamusia by się gniewała... nie mogę więc brać — odwrócił się jak od pokusy i pobiegł do domu.

Wanda podeszła do trzech stojących i spytała o zwrotniczego.

— To ja — odpowiedział szpakowaty szatyn, z twarzą szczera, łagodną — a pani czego?

Wanda spojrzała na obecnych, mówiąc po chwili namysłu:

— Przychodzę od córki pana...

— A... od Teklusi; cóż tam?

— Prosiła o sekret.

Tamci dwaj odsunęli się trochę, a zwrotniczy, nachylając się spytał:

— O co idzie, proszę pani?

— Tylko dla niepoznaki, towarzyszu, mówiłam o córce.

Spojrzał na nią badawczo, uśmiechnął się pod wąsem i mówił szeptem:

— Jaki interes, towarzyszek?

— Przyniosłam odezwy strejkowe.

— Chwalić Boga — rozjaśnił twarz, a zwróciwszy się do stojących opodal, rzekł — Michale, przypilnujcie zwrotnicy na chwilę... mam ważny interes.

Szli w kierunku dwóch budynków stacyjnych, a w drodze spytał:

— Kto dał wam mój adres?

— Komitet... Chciałabym wiedzieć, czy towarzysze wasi są powiadomieni o strejku?

— Wiedzieć o nim rozniosła się sama, ale nie wiemy kiedy? jaka korzyść dla sprawy i czy wszystkie koleje zapewnione.

— Zaczną koleje z Moskwy idące, za sześć, siedm dni i nie podejmą ruchu, póki rząd nie zgodzi się na nasze żądania.

— Hm... mówcie mi wyraźnie, jakież to żądania nasze?

— Poprawa bytu pracowników, usunięcie samowoli, wydalenia na mocy ustawy, zmniejszenie godzin pracy i czasu służby.

— To dobre dla nas — uśmiechnął się — no, a język? W Polsce musi być polski.

— Naturalnie towarzyszu... zresztą przy wyborach delegatów ci otrzymają szczegółowe wskazówki.

— Ale... ale... w czasie wyborów wszystko musi być gotowe; toż trzeba wiedzieć, czego chcemy od naszego delegata, a dopiero wybrać takiego, co stanie skalą za nami.

— Poszczególne kółka towarzyszy uradzą, czego żądać... a wy, jak myślicie?

— Zaraz wam powiem...

Weszli na mały plac, zamknięty z dwóch stron budynkami o ścianach głuchych, z trzeciej strony stały węgle złożone w czworograny, zaś od strony, z której weszli, były wagony towarowe.

(Ciąg dalszy na t. 21)